



Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej
wydawany dzięki dotacji Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego Wrocławia

Jingle bełt*

Grudzień – dla jednych czas intensywnych przygotowań przed zbliżającym się Bożym Narodzeniem, dla drugich – najgorszy okres w ciągu roku. Na świecie coraz częściej spotyka się przeciwników tego święta.

Wrogowie uroczystości wigilijnych prężnie działają. Na popularnym Facebooku wpisując frazę: „nienawidzę świąt”, można zauważyć co najmniej siedem grup członkowskich lub fanpejdży. Każda z nich ma po kilka tysięcy działaczy. Przeglądając różne ankiety dotyczące przeżywania Bożego Narodzenia, wyraźnie widać, że niemal połowa respondentów deklaruje brak sympatii do tych obchodów.

Jakie są powody tej wielkiej niechęci? Zapewne każdy przyzna mi rację, że święta Narodzenia Jezusa Chrystusa to pracowity czas dla każdego z nas. Jest wiele rzeczy do wykonania: porządki w całym domu, wybieranie i kupowanie prezentów, gotowanie (koniecznie!) dwunastu potraw, szukanie odpowiedniego karpia na wigilijny stół... No i jeszcze choinka – najważniejszy symbol świąt w naszym domu. Obowiąz-

kowo żywy świerk, od biedy może być też jodła. Trzeba wytypować tę idealną, ostatkiem sił wnieść ją do mieszkania i jeszcze przyozdobić. O rozplątywaniu lampek nie wspomnę. Istny koszmar.

– Szczerze nienawidzę świąt. Ciągle sprzątam, praktycznie nie wychodzę z kuchni – skarży się Anna, matka dwójki dzieci. – Przecież przerwa świąteczna to czas, kiedy mamy odpoczywać. Niestety, tak nie jest. Mam wrażenie, że pracuję ciężiej w moim mieszkaniu niż w pracy. Gdyby nie moje dzieci, z pewnością ten czas spędzałabym przed telewizorem.

– Mnie szczególnie irytują wszędzie grające kolędy. Ileż można? Chcę w spokoju zrobić zakupy w pobliskim marketcie, ale nie mogę, bo już od samego wejścia do sklepu uderza mnie melodia „Jingle bells” – ubolewa Krzysztof Napiórkowski.

Gdy już uporamy się z masą obowiązków, przychodzi długo wyczekiwany moment – wieczór wigilijny. Przyjeżdża rodzina, dzielicie się opłatkiem, składacie sobie życzenia. Standardowo: „Dużo zdrowia, szczęścia, pieniędzy, spełnienia marzeń”. No i jeszcze „samyh piątek i szóstek w szkole”, jeśli jeszcze się uczysz. Są też prezenty, każdy jest szczęśliwy. Ty jednak nie. Znasz to?

– Bardzo denerwuje mnie ta wymuszona, sztuczna atmosfera przy stole. Muszę się uśmiechać i udawać prze-
szczęśliwą – mówi

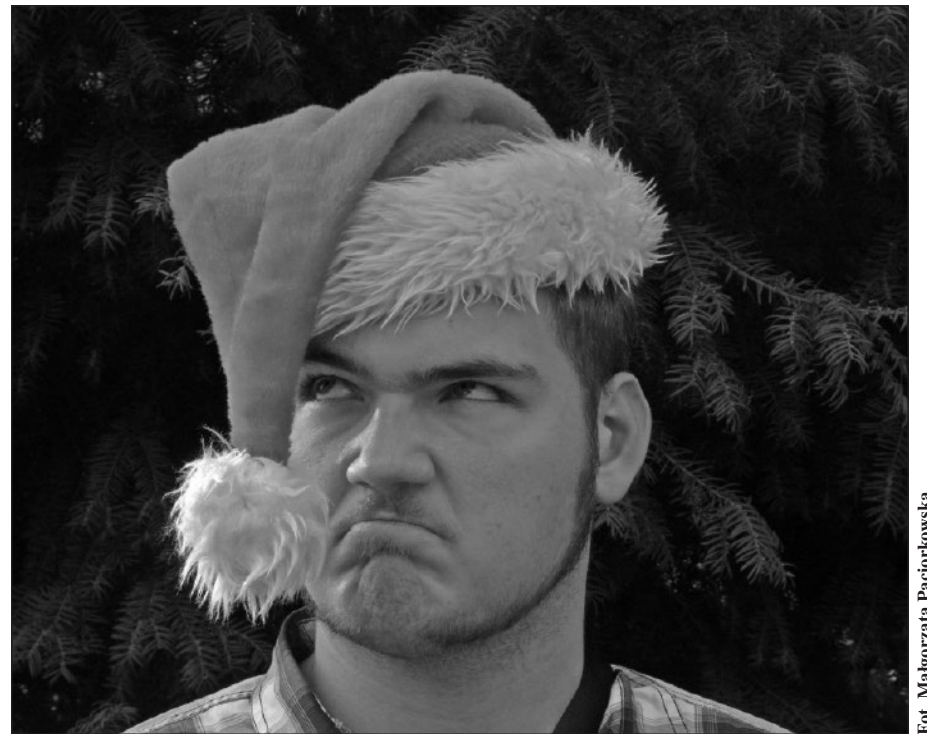
siedemnastoletnia Julia, uczennica jednego z wrocławskich techników.

Jak widać, święta nie każdemu kojarzą się z ciepłem rodzinnym. Miliony przygotowań zamiast zachęcać nas do przeżywania tej wspaniałej chwili, wręcz przeciwnie – działają na nas od-

pychająco. Może to całe szalone szykowanie nie jest wcale tak ważne? Zrobmy coś, żeby święta stały się prawdziwsze i rzeczywistość była czasem odpoczynku w miłej, rodzinnej atmosferze.

AGATA ZIOBRO
agataziobro@o2.pl

* Bełt – określenie wymiotów.



Fot. Małgorzata Paciorekowska

Teściowa i widły

Polakom już znudziły się żywiołowe kłótnie w „Trudnych sprawach”, szalone imprezy na Gran Canarii rodem z „Pamiętników z wakacji” i problemy małżeńskie „Zdrad”. Teraz na topie są rolnicy, maminsynki i nieśmiały czterdziestolatekowie.

Seriale paradokumentalne okazały się telewizyjnym hitem ostatnich lat. Zaczęło się od produkcji „Dlaczego ja?” emitowanej przez Polsat. Naciągana, wręcz sztuczna fabuła, prymitywne teksty i aktorzy prosto z ulicy wcale nie odstraszyli społeczeństwa. Wręcz przeciwnie – Polacy uznali oglądanie tych jakże „górnolotnych dzieł” za świetny sposób odpoczynku po pracy.

Popyt nakręca podaż

Sukces serialu grupy ATM uruchomił prawdziwą lawinę.

W Polsce pojawiły się kolejne podobne produkcje, inne stacje też podchwyciły temat. Wysoka oglądalność udowodniła, że nasz naród nie jest zbyt wymagający w kwestii przesłania niesionego przez telewizję. Zdecydowanie ukocharaliśmy sobie groteskę. Przedramatyzowane, pełne kłótni i prostactkich wyrażań sceny to momenty, które cenimy najbardziej.

– Ze smutkiem trzeba stwierdzić, że te programy są dużo śmieszniejsze niż kręcone obecnie komedie – przyznaje Kamila, uczennica technikum.

– Zachowania i słowa bohaterów są tak żałosne, że aż komiczne. Dzięki swojej prostocie są łatwe w odbiorze i nie wymagają myślenia.

Casting na żonę

Z czasem jednak trącające sztucznością historie zdrad, trudnych przypadków medycznych i niechcianych ciąży przejadły się. Przyszła pora na ckliwe, osobiste wyznania. Pionierem znów okazał się Polsat i ich produkcja „Chłopaki do wzięcia”. Śledzimy tam historie nieśmiały, niezbyt zamożnych mężczyzn, którym zależy na znalezieniu życiowej partnerki. W tym celu odwiedzają dyskoteki, korzystają z pomocy biur matrymonialnych i portali randkowych. Ich wrażliwość i rozpaczliwe szukanie miłości może rozczulić, jednak co bystrzejsi wyczuwają tam sporą nutkę kreślactwa reżyserskiego. To muzyczne w tym reality show stanowią hity disco polo.

Inną drogę szukania „tej jedynej” wybrali uczestnicy programu TVN „Kto poślubi mojego syna?”. Pomocą, a właściwie wyrocznią w podejmowaniu decyzji, jest rodzicielka każdego z kawalerów. Po krótkich rozmowach z kandydatkami, matki

i synowie wybrali po cztery faworytki. Następnie dziewczyny poddano wielu próbom. Panowie sprawdzali, czy wybranki nadają się na żonę, a ich matki testowały je w roli gospodyń domowych. W większości przypadków to drugie doświadczenie okazało się większym wyzwaniem. Mimo usilnych starań, producentom nie udało się zachować pozorów naturalności i swobody zachowań uczestników.

Sławianie, my lubim sielanki

Zdecydowanie największą sympatię widzów zyskali Zbigniew, Adam, Grzegorz, Paweł i Stanisław, uczestnicy produkcji „Rolnik szuka żony”. Dla tych prostych, niezwykle ciepłych, choć zamkniętych w sobie facetów, nie liczy się tylko ładna buzia. Cenią sobie kobiety zaradne, rodzinne, niebojące się pracy fizycznej na roli. Dlatego kandydatki musiały wykazać się umiejętnościami takimi jak dojenie krowy, skubanie kaczego pióra czy zbieranie ziemniaków. Program TVP wyróżniał się wśród konkurencji. Panowie chętnie udzielali wywiadów, odwiedzali

programy śniadaniowe, z dumą i skromnością zarazem cieszyli się chwilą sławy. Wiejskie klimaty urzekły nasze serca. Telemani z ciekawością śledzili losy bohaterów i szczerze kibicowali rodzącym się uczuciom.

Mówią, że o gustach się nie dyskutuje. Przykre jest jednak, że wybieramy często chłam, zamiast prawdziwych perełek. Mnie osobliście zdecydowanie bardziej podoba się choćby „Czas honoru”. Serial genialnie napisany i zmontowany, uczy historii, a i uroku osobistego aktorom odmówić nie można.

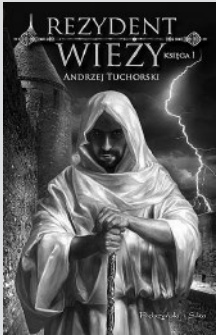
AGATA UDAŁA
agata.udala@gmail.com



Fot. Agata Ziobro



Rys. Oktawian Jurczykowski

Okiem
RecenzentaMagiczna
starożytność

Mogłoby się wydawać, że wszystkie możliwe koncepcje w literaturze zostały już wykorzystane. Zwłaszcza w pisarstwie fantasy. Jednak Andrzej Tuchocki udowadnia, że nie każda ścieżka jest utarta. W swojej najnowszej sadze REZYDENT WIEŻY rzuca nas w sam środek świata przepelnionego magią, herosami i mistycznymi istotami.

Utwór osadzony jest w uniwersum starożytności. Z początku wygląda to na jeden wielki eksperyment, w którym wszystko jest wynikiem przypadku, ale po zagłębieniu się w opowieść można dostrzec pewien ład. Tuchocki w mistrzowski sposób spleta razem starożytne wierzenia i sztuki magiczne, stosując zasadę kontrastu. Od samego początku lektury jesteśmy powoli oswajani z dość nowatorskim światem. Należy zaznaczyć, że bardzo dobrze opracowanym. Posiada swoją własną historię z charakterystycznymi postaciami, rozbudowane mapy i pełne szczegółów krajobrazy.

Kolejne postacie przewijające się przez opowieści są różnorodne i barwne, poczynając od bandytów, na smoku kończąc. Nie mogło oczywiście zabraknąć epickich walk i skomplikowanych wątków miłosnych, przeplatających się wzajemnie i popychających naszego głównego bohatera do przodu. Klavres, mag z wieży Irrum, nie jest jednak typową postacią. Tytułowy rezydent wieży preferuje siedzenie w swojej magicznej kwaterze i zażywanie błędnego spokoju. Jako czarodziej jest niezwykle utalentowany i mądry. Połączenie tych cech z jego szczęściem daje mu sławę jednego z ekspertów od magicznych spraw. Często jest odwiedzany przez kolejne drużyny szukające przygody lub rady. Bez problemu odszyfrowuje kolejne mapy, bada artefakty czy pomaga nieszczęśliwym, którzy wpadli w magiczne pułapki. W obronie własnej lub czyjejś, bez wahania sięga po miecz i potężne zaklęcia.

Pomimo lenistwa, które czasami dochodzi do granic możliwości, Klavres jest postacią z kodeksem moralnym, zdolną do empatii. Nie bacząc na różne trudności i niebezpieczeństwa związane z mieszkaniem w nie swoje sprawy, nie potrafi usiedzieć na miejscu, gdy ktoś potrzebuje pomocy. Jego lekki cynizm tylko dodaje powieści uroku, co w połączeniu z prostym językiem i pewną dawką humoru pozwala czytelnikowi zapomnieć o codziennych stresach.

ŁUKASZ ROSIŃSKI
lukasz_rosinski@interia.eu



Jednak nie bzdura

Nauka bywa łatwa, ale nieraz może być drogą przez mękę. Kto z nas, uczniów, ślęcząc którąś z kolei godzinę nad niedającym się przyswoić materiałem, nie zadał sobie pytania – do czego nam się to w życiu przyda?

Spójrzmy prawdzie w oczy. Data wybuchu powstania Chmielnickiego lub trzecia zasada dynamiki Newtona nie jest nam niezbędna w codziennym życiu. Dlatego często, gdy trzeba znać na pamięć wszystkie aspekty jakiegoś zagadnienia, po prostu szlag jasny nas trafia, chcemy rzucić liceum w diabły i iść na kasę do Biedronki. Oczywiście, nikt tego ostatecznie nie robi. Ale co by było gdyby?

Z początku właściwie nic to nie zmienia. Pracę każdy zaczyna od zera. Jednak po dłuższym czasie osoba bez świadectwa ukończenia szkoły średniej zderza się z tak zwanym szklanym sufitem, co przekreśla dalszą karierę. Niektórzy się poddają – mówią „tu mi dobrze, tu zostaję”. Za to dla ambitnych dopiero zaczynają się schody. Pchani własną motywacją lub zachęceni przez rodzinę i przyjaciół, robią wszystko, żeby zdobyć odpowiednie papiery.

Jedną z tych osób jest Magda, która nie czując satysfakcji z posady przedstawiciela handlowego, postanowiła piąć się wyżej.

– Nigdy nie miałam problemów ze znalezieniem pracy. Realnie oceniałam swoje kwalifikacje, nie wybrzydzałam. Jednak ile można? – zwierza się. – Kilkanaście lat temu z prywatnych przyczyn przerwałam naukę w liceum, właściwie tuż przed maturą. Tak naprawdę do tej pory nie odczuwałam tego skutków i chociaż lubię swoją pracę, postanowiłam wziąć się za siebie.

Niedawno zaczęłam drugi rok zaocznego liceum, zapisałam się też na dodatkowy kurs języka angielskiego.

Wszystko to brzmi świetnie – ambitna kobieta, która z przyjemnością poszerza swoją wiedzę. Jednak jest też druga strona medalu. Młodzież w gimnazjach i szkołach średnich zwykle nie ma żadnych poważniejszych obowiązków poza nauką. Łączenie edukacji z innymi zajęciami bywa kłopotliwe.

– Odkąd wróciłam do szkoły, rzadko udaje mi się wygospodarować chwilę dla siebie – opowiada Magda. – Najgorsze są wtorki i czwartki, kiedy mam dodatkowy angielski. Z samego rana odwożę syna do przedszkola, pędzę do pracy, którą kończę dopiero około szesnastej, odbieram dziecko, podrzucam je mojej mamie, w biegu odrabiam zadanie domowe, tu na szczęście czasem pomaga mi siostra. Po angielskim wracam do domu dopiero około dwudziestej pierwszej. Week-endy nie dają wytchnienia, łatwo zrozumieć, że program zajęć w liceum zaocznym jest dość napięty. To, co uczniowie w normalnym trybie robią w miesiąc, my robimy w ciągu sześciu dni.

Brzmi strasznie? W dużej mierze tak jest. Oczywiście, każda szkoła średnia wiąże się z brakiem czasu wolnego, który poświęcany jest na naukę.

Część uczniów ma także dorywczą pracę lub zajęcia dodatkowe, na przykład w szkole muzycznej. Jednak spójrzmy prawdzie w oczy – lepiej zmierzyć się z tym teraz, niż myśleć pół życia o świadectwach, których nie mamy.

MARTA MIANOWSKA
m.mianowska@onet.pl



Fot. Agata Ziobro

Miłość z drugiej półkuli

Mówi się, że uczucie na odległość jest ciężkie. A co, jeśli dwóch ludzi dzieli nie dystans, a „kilometry” kulturowe?

Widok pary Anglika z Polką lub Niemca z Francuzką nie jest tak dziwny czy fascynujący, jak obraz zakochanych o różnej kolorystyce skóry, kulturze i dzielących pół świata. Jednak czy rzeczywistość również przedstawia się tak niesamowicie i egzotycznie?

– Z Donghae poznaliśmy się na imprezie pracowników. Od razu zaintrygowała mnie jego odmienność – opowiada Justyna Lee-Guga.

Ale czy jest to historia o pięknej księżniczce i rycerzu na białym koniu?

– Problemy ujawniły się już w pierwszych miesiącach, gdzie, jak przynajmniej zawsze uważałam, powinien trwać czas ślepego zauroczenia – mówi kobieta. – Wszystko zaczęło się podczas spotkania rodzinnego w jego domu. Znałam bardzo pobieżnie język koreański, a co za tym idzie, kwestię honoryfikatywnego zwracania się do osób starszych. Po wspólnej kolacji otrzymałam reprimendę za moje nietaktowne zwracanie się do jego rodziców, jakbym rozmawiała ze znajomymi. Oczywiście próbowałam mu wytłumaczyć, że w Polsce kwestia ta nie jest aż tak ważna, jak w Korei. Dodatkowym problemem

była komunikacja między nami. Donghae nie znał polskiego, ja kulałam z koreańskim. Wspólne rozmowy prowadziłyśmy w języku angielskim, a muszę przyznać, nie była to moja mocna strona. Nieraz przez brak wiedzy dochodziło do nieporozumień, a nawet poważniejszych kłótni – kończy swoją wypowiedź.

Nie jest to jedyny taki przykład. Adam Brzęcki opowiada o swoim związku z kobietą z Ghany.

– Abenę poznałem na zabawie sylwestrowej u mojego przyjaciela z Poznania. Zafascynowała mnie jej uroda, ciemna skóra, kręcone włosy i nieziemsko biały uśmiech. Nie podejrzewałem jednak, że pod tą powłoką kryje się prawdziwa bestia – śmieje się. – Po raz pierwszy swój charakter ujawniła podczas spotkania rodzinnego. Zaproponowano mi dokładkę dania, a ja grzecznie odmówiłem, będąc już pełnym. Po powrocie do naszego mieszkania

Abena była oburzona, ponieważ według ghańskich tradycji nie wypada odmawiać dokładek proponowanych przez starszych, ponadto należy uściśnić dłoń każdego z domowników, a moje przywitanie ograniczyło się do zwykłego „dzień dobry”.

Nieznamość zwyczajów krajów nam egzotycznych stanowi nie lada wyzwanie w relacjach międzyludzkich. Zróżnicowanie kulturowe i językowe jest przyczyną licznych konfliktów i nieporozumień. Często jest to bariera nie do przekroczenia.

– Nieraz, mimo szczyrych chęci, takie związki nie mają racji

bytu i kończą się całkowitym zerwaniem kontaktu z drugą osobą. Do podjęcia takiego wyzwania potrzebny jest silny charakter, duża doza cierpliwości, a także umiejętność pójścia na kompromis. Nie każdy jest skory do takich poświęceń – podsumowuje Adam.

Jednym ze skutków globalizacji jest zacieranie się granic kulturowych. Spotykając w Polsce parę o różnych barwach skóry uśmiechamy się, choć większość z nas nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ciężką drogę musiała przejść ta dwójka. Należy pamiętać, że miłość nie zawsze jest tak kolorowa, jak kolorowa jest nasza skóra.

MAJA GORGOŃ
majonezik.gorgon@o2.pl



Fot. Agata Ziobro

Z pomocą ludzkości

Z dr. JÓZEFEM DZIAŚKO, wrocławskim przedsiębiorcą oraz rotarianinem, rozmawia Sara Niewiejska

► Czym jest Rotary Club?

– To stowarzyszenie, które działa na całym świecie. Naszym głównym celem jest szeroko rozumiana pomoc innym. Przeznaczamy środki finansowe na różne konieczności oraz inicjatywy społeczne. Przez wiele lat walczyliśmy z polio (zapalenie opon mózgowych), które kiedyś było poważnym problemem, szczególnie wśród dzieci. Fundujemy budowę studni w Sudanie i innych krajach Afryki. To tylko niektóre z inicjatyw Rotary International, którego jesteśmy częścią. O słuszności naszych działań może świadczyć fakt, że niedawno Bill Gates przeznaczył na naszą fundację bardzo dużo pieniędzy. Zrobił to, ponieważ doszedł do wniosku, że pozytywnie wpisujemy się w obraz organizacji pozarządowych działających w ponad 150 krajach.

► W Internecie można znaleźć sporo opracowań, według których kluby Rotary to masonskie przedszkola oraz podejrzewa się Was o związki z masonerią.

– Nie wiem, skąd taka opinia. Papież Jan Paweł II co roku spotykał się z rotarianami w Watykanie, nikt z kleru nigdy nie odmówił nam spotkania. Do tej pory jeszcze nie nazwano mnie masonem (śmiech). Myślę, że bli-



żej nam do harcerzy niż do masonów.

► Jak został Pan rotarianinem?

– Istnieje pewna formuła przyjmowania nowych członków. Ktoś zauważył, że jestem aktywny na pewnym polu i zaprosił mnie do współpracy. Do klubu nie da się wstąpić na własne życzenie. W początkach działalności w Rotary panowały bardziej zastrzone regulaminy i prawdy. Główną z nich było przyjmowanie osób reprezentujących różne zawody. Żaden z członków nie mógł pełnić tej samej profesji, co inny członek jego klubu. Wprowadzono tę zasadę, aby uniknąć wewnętrznych konfliktów. Obecnie jesteśmy bardziej tolerancyj-

ni: dla przykładu podzieliliśmy lekarzy na specjalizacje.

► Jakie są obowiązki członka Rotary?

– Są podobne do obowiązków uczniów. Trzeba przychodzić na spotkania, które odbywają się raz w tygodniu. Istnieją kluby śniadaniowe, spotykające się na śniadaniach, obiadowe – na lunchach. Ja należę do klubu kolacyjnego, więc spotykamy się na wspólnych kolacjach. Zawsze możemy tam zjeść chleb ze smalcem i ogórkiem – na tym polega symbolika. Istotą spotkań jest omówienie spraw klubu, występ guest speakera, który prowadzi ciekawy wykład. To permanentna nauka dla członków klubu – swoisty Uniwersytet Wieczorowy. W planie spotkania jest też chwila przeznaczona dla drugiego człowieka. Jest to czas dla osób, które liczą na pomoc z naszej strony. Mamy swój system wspierania potrzebujących. Mało która organizacja wysyła młodzież za granicę, finansując to w znacznym stopniu. Naszym wielkim osiągnięciem jest Rotary Youth Exchange – wymiana młodzieżowa do państw Ameryki Północnej i Łacińskiej, Australii, Południowej Afryki, Azji – na przykład do Japonii, Wietnamu, Tajlandii, USA.

► Co trzeba zrobić, aby wziąć udział w wymianie?

– Wystarczy tylko chcieć i zgłosić się do kierownika do spraw wymiany, wypełnić aplikację, w której podaje się przebieg kariery szkolnej, opisuje się swoje zainteresowania, rodzinę oraz przyjaciół. Należy też przejść odpowiednie badania lekarskie. No i wyjeżdża się. W zamian rodzina wyjeżdżających studentów przyjmuje osoby z innych krajów. Nasz klub słynie z największej ilości takich wymian w całym rotariańskim świecie. Czasami nawet w jednym roku wyjeżdża za granicę dwadzieścia osób z Dolnego Śląska i tyle samo zapraszamy do siebie – do Polski.

► Jak wygląda życie na wymianie?

– Jest ono bardzo atrakcyjne. Student wymiany poznaje życie codzienne, obyczaje oraz kulturę kraju, w którym przebywa. Niektórzy uczestnicy zdają specjalną maturę, np. w USA, która umożliwia wstęp na każdą uczelnię świata, pod warunkiem, że się ją dobrze zda. Poza tym wymiana to solidna szkoła życia. Student wymiany otrzymuje również kieszonkowe. Mając szesnaście lat, uczy się samodzielności, będąc przez rok w obcym kraju, w obcym domu i obcych rodzinach. Pod koniec wymiany odbywa się miesięczne zwiedzanie kraju, w którym było się na wymianie. W tym zakresie

polskie kluby Rotary International pełnią funkcję ministerstwa spraw zagranicznych naszego kraju na poziomie edukacji.

► Wielu uczestników wymiany jako najpiękniejszy moment pobytu we Wrocławiu wspomina Wigilię Wielu Narodów. Czy mógłby Pan opowiedzieć o tym wydarzeniu?

– Młodzież biorąca udział w Rotary Youth Exchange w Polsce ma obowiązek poznawania kultury naszego kraju. Dlatego studenci wymiany uczestniczą w różnych imprezach rodzinnych związanych z naszą kulturą takich jak śluby, chrzciny, a także w Wigiliu Wielu Narodów. To tradycja zrodzona we Wrocławiu. W okresie bożonarodzeniowym do naszego miasta zjeżdżają uczestnicy wymian z wszystkich klubów Rotary w Polsce. Stajemy się jedną wielką rodziną oraz wspólnie spędzamy święta. Śpiewamy kolędy, degustujemy polskie potrawy, poznajemy polską tradycję. W tym roku dołączą do nas uczestnicy wymiany z Niemiec. W spotkaniach biorą udział także duchowni różnych kościołów oraz przedstawiciele wielu grup etnicznych. Wszystko po to, aby cieszyć się sobą i wspólnie pokolegować. To bardzo nas ze sobą jednoczy i scala. W tym roku odbędzie się już czternasta taka wigilia, wielkimi krokami zbliża się piętnasta, w pewnym sensie okrągła rocznica. Myślę, że to bardzo cenna inicjatywa Clubu Rotary Wrocław.

► Niewątpliwie jest to piękna tradycja. Życzę, aby trwała ona jak najdłużej i dziękuję za rozmowę.

niewiejska@gmail.com

Jesteś dresiarzem?

Chyba każdy z nas nosił kiedyś dres. Niektórzy w nim śpią, inni ćwiczą, biegają, kolejni używają jako stroju domowego. Kolorowy czy czarny, z renomowanej firmy lub zupełnie nieznaney – to nieistotne, ważne, żeby był wygodny. Ale co się dzieje, gdy dres zaczyna być najważniejszą częścią garderoby i miesza nam w głowie?

Jakiś czas temu na Facebooku pojawił się przepis na idealnego dresiarza. Czy w takim razie każdy z nas może nim zostać? Teoretycznie tak. Rzeczy, których potrzebujemy i zarazem mamy obowiązek posiadać, to dres, czapka „wpierdółka”, „kołczan prawidłowości” oraz „trzewiki ulicznego gniewu”.

Dość nietypowe nazwy, ale oznaczają bardzo typowe rzeczy. Pierwsza pozycja to po prostu czapka z daszkiem. Musi być ciemna, najlepiej z dobrej firmy sportowej, odpowiednio ściskająca głowę, aby do mózgu nie docierało za dużo dotlenionej krwi. Druga, która dla przeciętnego obywatela może niczego nie oznaczać, to nerka, ale noszona w bardzo określony sposób – musi być przewieszona przez ramię i układać się mniej więcej tak, jak pas bezpieczeństwa w samochodzie. Trzecia rzecz to buty, konieczne sportowe, w odblaskowych barwach, przyciągające duże grupy maniurek, to znaczy fajnych dziewczyn. Cemu sportowe? Bo pasują do dresu i pozwalają na szybkie bieganie, na

przykład za osobnikiem, który nie chce dobrowolnie oddać swojej części garderoby.

– Przed wyjazdem na studia szukałem mieszkania do wynajęcia. Dostałem się na Uniwersytet Wrocławski, a że moje rodzinne miasto jest daleko od Wrocławia, postanowiłem zamieszkać tutaj.

Pewnego wieczoru śpieszyłem się na pociąg. Mieszkałem wtedy w dość niebezpiecznej dzielnicy. W oddali zobaczyłem kogoś, kto wzbudził moją ciekawość, ale też niepokój. Szedł samym środkiem chodnika w moją stronę, tym charakterystycznym, dresiarzkim krokiem. Zgarbiony, z nogami w rozkroku, bujając się na boki. Wpadł na mnie. Od razu zapytał uprzejmie: masz jakiś problem? Zmierzył mnie wzrokiem. Niestety, spodobała mu się moja nowa bluza. Po dwóch minutach nie należała już do mnie – mówi Jakub Nowicki.

Takie sytuacje zdarzają się dość często. Dresiarze nie mają co robić, bo przecież w większości nie pracują ani się nie uczą. Nudzą się całymi dniami, więc szukają rozrywki. Często uważają się za panów swojego miasta. Myślą, że na wszystko mogą sobie pozwolić. Mają skłonności do nienawiści wobec innych subkultur. A najbardziej nie lubią punków...

– Pewnego dnia czekałam na przystanku na tramwaj. Byłam ubrana na czarno, miałam ciemną, skórzaną

kurtkę i glany. Po chwili kątem oka zauważyłam, że ktoś za mną stoi i mierzy mnie wzrokiem. To był jakiś dresiarz. Zwykle nie zwracam na nich uwagi. Ten jednak stanął tuż za mną i zaczął mnie obrażać. Przyzwyczaiałam się już do otwartej niechęci z ich strony. Najczęściej są wrogo nastawieni wobec osób, które kojarzą im się z muzyką punk-rockową lub metalową – mówi Wiktoria Majchrzycka, uczennica liceum.

A jeśli nie każdy miłośnik dresów to zły człowiek? Może czasem jest w stanie pomóc bezinteresownie czy okazać wsparcie? Nic nie jest niemożliwe...

– To był dzień przeprowadzki do mojego nowego mieszkania.

Wniosłam ostatnią walizkę pod drzwi, a tu schodzi po schodach dresiarz i mówi: – Pani nowa? Bo jakby ktoś pani dokuczał albo robił przykrości, to teraz Pani wie, do kogo się zwrócić. Pani pokaże kto to, to ja z kolegami pomogę – z uśmiechem wspomina Katarzyna Rybacka.

Teoretycznie każdy z nas może zostać dresiarzem, jeśli tylko zechce. Sława i respekt, jakie może wtedy zdobyć, dla wielu przeciętnych ludzi są nieosiągalne. Ale pamiętajmy, że „kołczan prawidłowości” i czapka „wpierdółka” nie zrobią z nas rasowych dresów. Z tym trzeba się urodzić i pielęgnować to przez wiele lat.

ADRIANNA SMOLAK
ada.96.96@o2.pl



Fot. Agata Ziobro

SZLIF ZAPRASZA

kino | nowe horyzonty

Warto obejrzeć

W tym miesiącu żaden kinoman nie przejdzie obojętnie obok „Furii”. Film wojenny z Bradem Pittem w tytułowej roli Furii (pseud. sierżanta Wardaddy) podbije serca fanów dobrego kina jak i historii.

Tym, którzy w repertuarze szukają spokojnych obrazów, szczególnie polecamy pewien dramat osadzony w Polsce lat 60. „Ida” to opowieść o kobiecie, która przed przyjęciem święceń klasztornych spotyka się ze swoją jedyną krewną. Nowicjuszką dzięki spotkaniu

dowiaduje się, że jest Żydówką. Spokrewnione kobiety wyruszają w rodzinne strony, aby odkryć prawdę o swoich przodkach. Wkrótce zaczynają podejrzewać, iż rodzice głównej bohaterki zostali zabici przez sąsiada.

Wart uwagi jest również kanadyjski film „Mama”. Życie owdowiałej czterdziestolatki i jej nadpobudliwego syna wywraca się do góry nogami, kiedy pojawia się tajemnicza sąsiadka. Film oprawiono ścisłą dźwiękową, która wpadnie w ucho każdemu buntownikowi.

Odzyskany skarb

Ponad trzydzieści lat na karku i nadwaga wcale nie skreślają zawodnika oraz nie kończą jego sportowej kariery. Zdobyć wysokiej formy i dorównanie młodziakom to tylko kwestia silnej woli, zaangażowania, poświęcenia i, co najważniejsze, czystej chęci.

To właśnie udowodnił nam Sebastian Mila – piłkarz Śląska Wrocław i reprezentant Polski. Do stolicy Dolnego Śląska trafił w 2008 roku, gdzie swoją techniką, doskonałymi podaniami, dośrodkowaniami i licznymi asystami zachwycał lokalnych kibiców, a pod wodzą Oresta Lenczyka jako kapitan drużyny wznosił pułchar Mistrzostwa Polski.

Niestety, w 2012 roku przyszedł kryzys – piłkarze nie mogli dogadać się z trenerem, w szatni powstawały konflikty. Nie pomogła zmiana na stanowisku szkoleniowca – Stalislav Levy źle prowadził drużynę, brakowało dyscypliny, zawodnicy się rozbestwili. Sam Mila przytył, jego możliwości kondycyjne – mimo iż już wcześniej nie były zbyt wysokie – pogorszyły się, gdzieś zniknęły również umiejętności tech-

niczne i genialne dośrodkowania „na głowę”. Sebastian był stałym, acz ciągle niewidocznym elementem zespołu.

Wtedy, pod koniec sezonu 2013/14, drużynę przejął Tadeusz Pawłowski. Wprowadził w niej gruntowne reformy – odebrał Mili opaskę kapitana, do której ten zdążył się już przyzwyczaić, narzucił zawodnikom dyscyplinę i rozpoczął wymagające treningi, które wyszły na dobre zarówno zespołowi, jak i samemu Sebastianowi.

Piłkarz przyznaje, że „zwyyczajnie lubi” trenera. Nie żywi do niego urazy o utratę pozycji kapitana, za to wziął się do pracy. Przeszedł na dietę, co – jak sam mówił – nie było łatwe i sprawiło mu naprawdę dużo trudności. Zrezygnował z alkoholu i stodyczy (przyznał się, że szczególnie

ciężko było mu powiedzieć „nie” czekoladzie), a także zaczął biegać i przykładać się do klubowych treningów. Te zabiegi dały oczekiwany efekt.

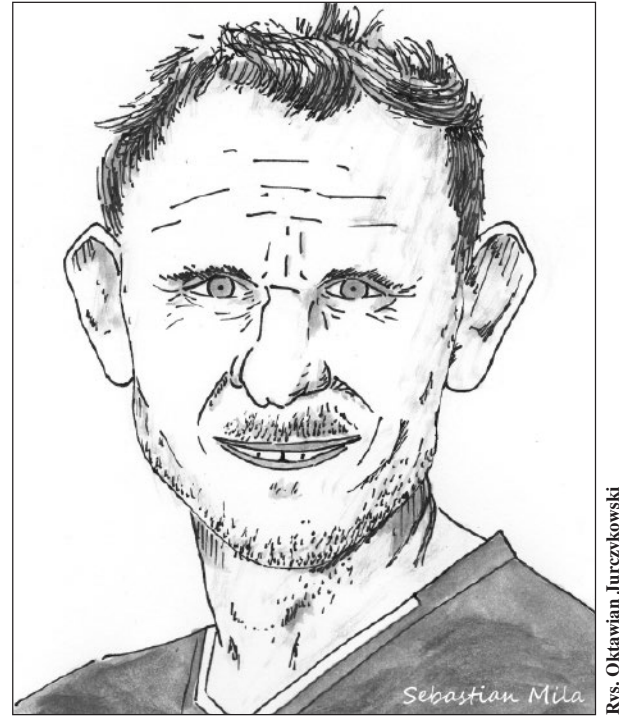
Sebastian Mila schudł osiem kilogramów i wrócił do dawnej formy. Na nowo stał się istotną postacią na boisku, poświęcał się grze, dawał z siebie wszystko i ponownie zaczął zachwycać wszystkich swoimi podaniami i techniką. Zdobył nawet uznanie selekcjonera kadry – Adama Nawałki – który powołał go do reprezentacji na mecze w eliminacjach do Mistrzostw Europy. Mila odwdziczył się trenerowi i zagrał na nosie wszystkim wątpącym w jego umiejętności i sens decyzji selekcjonera, prezentując się wspaniale w spotkaniach międzynarodowych, a nawet strzelając bramkę Niemcom.

Od tej pory Sebastian znalazł się na świeczniku. Zaczął często pojawiać się w gazetach i telewizji, był na ustach wszystkich: Facet jest na fali – mawiali kibice. A to wszystko w wieku trzydziestu dwóch lat, w czasie, kiedy piłkarze powoli myślą o przejściu na sportową emeryturę, szukają sobie późniejszego zajęcia i sposobu na zarobek lub rozglądają się za klubami, w których mogliby pograć jeszcze trochę dla przyjemności, po czym zakończyć karierę.

Postawa Sebastiana Mili pokazuje wszystkim, iż nigdy nie jest za późno, by spełnić marzenia – nawet

jeżeli wszyscy wokół skazują cię na porażkę. Wystarczy tylko chęć, silna wola i odpowiedni bodziec do działania. I być może jakiś dobry trener, który będzie umiał skutecznie zmotywować.

MATEUSZ KOŁOMAŃSKI
radvvan@ymail.com



Rys. Oktawian Jurczykowski

Felieton Szlifu

Kiedy myślę o Polsce, staję mi przed oczami Tatry, żubry, Karków, orzeł biały i biało-czerwona

– im bardziej naciskane, tym mocniej wybijające się – nie ma z Polską wiele wspólnego.

A któż to takie piękne logo wymyślił? Bynajmniej nie jest to Polak.

ale w końcu Polska jest mistrzem w wydawaniu ogromnych sum na rzeczy nikomu do szczęścia niepotrzebne.

Po fali oburzenia MSZ na pewno zachodzi w głowę, dla-

Sprężyna za milion złotych

flaga. Ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby mi do głowy – o ile w ogóle – jest sprężyna.

Niestety, inne zdanie ma Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które wspomniany kawałek drutu niewątpliwie stawia na równi z godłem i flagą naszego państwa.

Czy rzeczywiście Polsce niezbędne jest logo? Czemu polskie firmy i przedsiębiorstwa nie mogłyby używać znanych na całym świecie polskich symboli narodowych? Wciskany im na siłę pokrzywiony bohomaż, który według autora ma obrazować Polaków jako sprężyny

Kto zatem? Nieżyjący już Brytyjczyk Wally Olins, mający z naszym krajem tyle wspólnego, co ślepy z karaoke.

Może pan Wally poznał chociaż jakąś osobę znad Wisły? Nie wykluźone, że zaimponowała mu sprężystością, montując rury w łazience lub sprężyste skacząc wokół jego stolika w restauracji.

Dochodzi jeszcze kwestia ceny. Przecież nikt o zdrowych zmysłach takiego arcydzieła nie oddałby za darmo. Otóż logo kosztuje 220 tysięcy euro, czyli około miliona złotych. Dużo? To mało powiedziane,

czego ich genialny pomysł na promocję Polski za granicą jest tak bardzo krytykowany. Mądrym umysłem, odpowiedzianym za postrzeżenie naszego kraju w świecie, nie przemknęło widocznie przez głowę, że wymyślanie nowego znaku rozpoznawczego Polski i zastępowanie nim orła i flagi ma dość negatywny wydźwięk. Czy nie oznacza to, że wstydzimy się swojego godła? Biermy przykład z Amerykanów, którzy godło i flagę USA umieszczają praktycznie na wszystkim i są z tego znani na całym świecie.

Gdy obcokrajowiec zobaczy polski produkt ze sprężyną na opakowaniu, skojarzy mu się on tylko z hydraulikiem, który niedawno u niego pracował, bo w kraju tego hydraulika nie ma dla niego roboty.

Czy naprawdę orzeł i biało-czerwone barwy znudziły się już Polakom i są tak wysłużone, że trzeba je zastąpić? Z pewnością nie, ale żyjemy w kraju, w którym mądrale i urzędasy mają o wiele więcej do powiedzenia niż szary obywatel.

MICHAŁ WÓJCICKI
michalwojcicki5@wp.pl

Wszechnicę odwiedzili

Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

17 października gośćmi Wszechnicy byli Eliza Bandzwołek, Tomasz Łapa i Michał Bartczyszyn, członkowie Drużyny Wojów Ślązańskich KRUK. Tych troje młodych ludzi opowiedziało nam o swojej pasji, którą jest rekonstrukcja historyczna. Przedmiotem ich zainteresowania jest wczesne średniowiecze. Taka działalność nie bez powodu przez wielu nazywana jest „żywą historią”. Gdy Drużyna wyjeżdża na festyn lub jarmark historyczny, przenosi się w czasie. Członkowie nie tylko ubierają się, walczą jak wczesnośredniowieczni wojowie, ale też zajmują się rzemiosłem – sami wytwarzają broń, stosując metody właściwe tamtych czasom. Uczestnicy Wszechnicy mieli również możliwość obejrzenia takiego ryszunka, a nawet – co wywołało gromkie brawa – zobaczyć go w akcji.

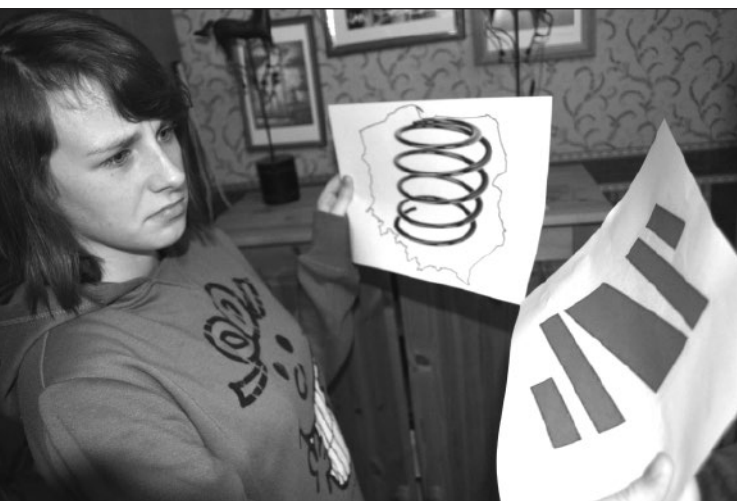
24 października gościliśmy Magdalenę Kowską, blogerkę i studentkę programu Erasmus. Zachęcała uczestników Wszechnicy do dodatkowej działalności podczas studiów, takiej jak wolontariat czy wymiany i wyjazdy studenckie.

Taka aktywność nie tylko wzbogaci nasze życie o nowe doświadczenia, ale może również uczynić nasze CV atrakcyjniejszym w oczach pracodawcy. Pani Magdalena opowiedziała nam też o swoim udziale w programie Erasmus, który realizowała w Hiszpanii. Pokazała nam zdjęcia ze swojego wyjazdu i jako osoba zafascynowana kulturą tego kraju przedstawiła kilka ciekawostek.

7 listopada gościem Wszechnicy był Janusz Karkocha, przez ponad dwadzieścia lat pełniący funkcję wychowawcy w Zakładzie Karnym we Wrocławiu, następnie opiekuna wychowawców i do odejścia w zeszłym roku – szefa ochrony. Pan Janusz, z wykształcenia filozof i teolog, sam jest przeciwnikiem więzień. Uważa, że z ludźmi powinno się rozmawiać – tak właśnie postępował, gdy pracował w zakładzie karnym. Opowiedział nam o strukturze systemu więziennego w Polsce i wytłumaczył, na czym polega praca wychowawcy. Mogliśmy zobaczyć ilustracje więziennych tatuaży wraz z objaśnieniami oraz unikatowy w kraju zapis języka „migowego”, wytworu tamtejszej podkultury.



Polub nas na:
facebook.com/szlif.lo13



Fot. Lukasz Rosiński

Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej

Adres redakcji: ul. Haukego-Bosaka 33, 50-447 Wrocław;
www.lo13.wroc.pl; szlif13@gmail.com

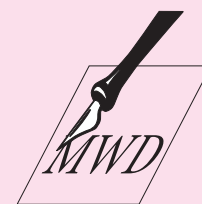
Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu, pod patronatem Stowarzyszenia Dziennikarzy RP Dolny Śląsk

Opiekun:
Przewodnicząca MWD:
Z-ca przewodniczącej MWD:
Redaktor naczelna:
Zastępcza red. naczelnej:
Sekretarz redakcji:
Szefowa fotoreporterów:
Korekta:
Przygotowanie do druku:

Wojciech Chądzyński
Paulina Piotrowska
Łukasz Rosiński
Sara Niewiejska
Maciej Szydłowski
Agata Udała
Agata Ziobro
Marta Mianowska, Weronika Herold, Maja Gorgoń
I-Bis Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c.
tel. 71 342 25 17, www.i-bis.com.pl

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej



Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 15.00 do XIII LO przy ul. Haukego-Bosaka 33.